



Sylvain Prudhomme

Na rozdrożach

powieść drogi
na nasze czasy

Collection
NOUVELLE
najnowsza proza francuska

N•W≡

Na rozdrożach

Sylvain Prudhomme

Na rozdrożach

przekład Dorota Malina

Collection
NOUVELLE
najnowsza proza francuska

N·W·E

Tytuł oryginału francuskiego *Par les routes*

Copyright © Éditions Gallimard, Paris, 2019

Copyright © Nowela, Poznań, 2022

Copyright © for the translation by Dorota Malina

Redaktor serii Emilia Zwoniarska

Opracowanie graficzne i skład JNK Graftekst Justyna Nowaczyk

Korekta Karolina Frąckowiak

Cet ouvrage, publié dans le cadre du Programme d'aide à la publication Boy-Żeleński, a bénéficié du soutien de l'Institut français de Pologne.

Książkę wydano dzięki dofinansowaniu Instytutu Francuskiego w Polsce w ramach Programu Wsparcia Wydawniczego Boy-Żeleński.

ISBN 978-83-67029-80-3

Wydawnictwo Nowe

Nowela sp. z o. o.

ul. Żmigrodzka 41/49

60-171 Poznań

Dział handlowy (+48 61) 847 40 40

www.wydawnictwonowe.pl

e-mail: redakcja@wydawnictwonowe.pl

Czas przepływa i żyje się
Dzień za dniem i rok za rokiem,
A ja nie wiem już, co rzec:
To pragnienie wciąż we mnie jest¹.

BERNARD DE VENTADOUR

¹ Przełożyła Anna Arno (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

1.

Spotkałem autostopowicza sześć czy siedem lat temu w małym miasteczku na południowym wschodzie Francji po tym, jak przez piętnaście lat, choć nie całkiem o nim zapomniałem (autostopowicz nie należał do ludzi, o których się zapomina), to przynajmniej nie myślałem o nim tak często jak dawniej. Nazywam go autostopowiczem, bo właśnie tak określałem go w swoich wewnętrznych monologach, o których nie miał pojęcia, tak jawił mi się przez te wszystkie lata, kiedy utrzymywaliśmy kontakty, i przez te lata, kiedy, choć się od siebie oddaliliśmy, mimo wszystko stanowił dla mnie odległy punkt odniesienia – marynarze mają na to specjalne słowo, które lubię i w którym pobrzmiewa spokój, ale i bierność: stawa.

Byłem świeżo po przeprowadzce do M., kiedy dowiedziałem się, że on też tam mieszka.

Wyjechałem z Paryża, żeby zacząć nowe życie. Za wszelką cenę chciałem zmienić otoczenie. Zniszczyć i odbudować: taki miałem program na najbliższe dni, a może lata.

Dobiegałem czterdziestki. Od dawna pisałem książki. W Paryżu pracowałem w domu, wychodziłem, wracałem pracować.

Byłem podmiotem i przedmiotem wydarzeń. Spotykałem się z ludźmi. Niektórzy stawali mi się bliscy. Zakochywałem się. Odkochywałem się. Nie wiem, czy zgodnie z naturalną trajektorią życia człowiek zawsze zaczyna jako samotny, osobny nomada, a potem stopniowo nawiązuje coraz więcej więzi, osiada, zakłada rodzinę. Jeśli tak jest, to przeżywałem regres. Zatrzymywałem się coraz wcześniej. Moje miłosne przygody robiły się coraz krótsze. I coraz rzadsze. Coraz ciężiej było ze mną wytrzymać. A może to ja z czasem traciłem cierpliwość, trudniej było mi troszczyć się o innych.

Stawałem się niedbały. A może traciłem zainteresowanie miłością.

Nie bałem się być sam. W samotności zawsze zdarzały mi się chwile głębokiego szczęścia – przeplatane chwilami głębokiego smutku, ale jednak: usposobienie mam raczej pogodne.

Podoba mi się, a zarazem przeraża mnie idea smugi cienia. Niewidzialnej granicy przekraczanej mniej więcej w połowie życia, za którą przestajemy się *stawać*: po prostu *jesteśmy*. Koniec z obietnicami. Spekulowaniem, na co się jutro odważymy. Terytorium, które mieliśmy siłą odkrywać, kawałek świata, który byliśmy zdolni objąć, już są nam znane. Znaleźliśmy się w pół drogi. Połowa naszego życia jest za nami, to opowiedziana już historia o tym, kim jesteśmy, kim dotąd byliśmy, na jakie ryzyko się odważyliśmy, a na co brakło nam odwagi, co sprawiło nam ból, a co przyniosło radość. Możemy się zarzekać, że transformacja nie dobiegła końca, że jutro będziemy kimś innym, że nasza prawdziwa tożsamość jeszcze się nie ujawniła – tyle że coraz trudniej w to wierzyć. A nawet gdyby faktycznie tak było, przewidywana długość życia tej nowej istoty z dnia na dzień się skraca wraz ze starzeniem się obecnej, tej, którą jesteśmy od lat, niezależnie od tego, co się jeszcze wydarzy.

W M. chciałem prowadzić życie spokojne. Skromne. Sumienne. Marzyłem o odpoczynku. Świetle. O życiu bardziej prawdziwym. O wigorze. Płynności. O książce, która powstanie za jednym zamachem, w ledwie kilka tygodni. Narodzi się z olśnienia, które będzie nagrodą za wielomiesięczną cierpliwość. Byłem gotowy czekać. Cenię sobie mózół. Podziwiam upór, samozaparcie, wytrwałość.

Wybrałem M., bo miasteczko jest małe. Podobno piękne i przyjazne dla mieszkańców. Bo znałem tam dwie czy trzy osoby, z którymi mogłem niezobowiązująco się spotykać: kuzyna, nauczyciela z liceum, którego lubiłem, choć prawie się nie widywaliśmy. Znajomych znajomych, z którymi nie musiałem się umawiać.

Pamiętałem kilka spędzonych tam letnich weekendów, kiedy doskonale wiedziałem, że miasteczko całkowicie podporządkowane przyjemnościom letników pokazuje teraz tylko swoje najatrakcyjniejsze, łatwe do lubienia oblicze. Chciałem poznać też to drugie. Długie zimowe wieczory. Niebieskie niebo i styczniowe mrozy. Patrząc na zatłoczone ogródki kawiarni i fasady z szeroko otwartymi oknami, zastanawiałem się: co będzie za trzy miesiące. Kiedy wszyscy wyjadą. Temperatura spadnie do zera, a światło będzie zalewać opuszczone place i zamknięte kawiarnie.

Chciałem spokoju. Wydawało mi się, że w M. odnajdę skupienie i ascezę, których brakowało mi od lat. Odpowiednią dawkę odosobnienia, dzięki której będę mógł w końcu się zebrać, ogarnąć, może odrodzić.